

Od autora: Opowiadanie napisane już jakiś czas temu, ale kiedyś nie uważałem go za wartę publikacji na tym Portalu.

Pewnego dnia siedziałem sobie jak zwykle w moim mieszkaniu, kiedy nagle usłyszałem dzwonek do drzwi. Zdziwiony, podszedłem i otworzyłem je. Na progu stał człowiek. Gdy otworzyłem, powiedział natchmiast:

- Luzor Povechacque Moussou.

- Słucham? – odpowiedziałem, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Lecz on znowu powtórzył, tym samym tonem:

- Luzor Povechacque Moussou.

- Ale że o co chodzi? Co to jest? Kto to jest? – zapytałem.

- Luzor Povechacque Moussou.

- Niech Pan wejdzie może zamiast tak stać w drzwiach – powiedziałem, sam nie wiem czemu. Przecież widać było, że to wariat, nie wiadomo o co mu chodzi, bełkocze coś bez sensu, więc po co go było właściwie wpuszczać, sam nie wiem. Niemniej, gość skorzystał z zaproszenia i wszedł do przedpokoju, gdzie znowu powtórzył głośno i wyraźnie:

- Luzor Povechacque Moussou

Nie wiedziałem za bardzo co powiedzieć. Zadałem mu znowu kilka pytań, ale w odpowiedzi usłyszałem te same niezrozumiałe słowa. Zaczynało mnie to denerwować. Powiedziałem mu, żeby sobie poszedł, że niestety, przykro mi, ale nie wiem o co, o kogo chodzi, nie mogę pomóc. On jednak stał cały czas i nie chciał się ruszyć. Wciąż tylko powtarzał swoje. W końcu siłą, acz z pewnym trudem, bo zapierał się i przytrzymywał ścian, wyrzuciłem go za drzwi i szybko zatrzaskałem drzwi. Z westchnieniem ulgi powróciłem do moich zajęć i wkrótce zupełnie zapomniałem o dziwaku. Gdy więc około dwóch godzin później usłyszałem ponowny dzwonek do drzwi, do głowy mi nie przyszło, że to może być znowu on. A jednak. Tym razem sam, nieproszony wepchnął się do przedpokoju i stał tam, powtarzając wciąż na nowo bezuczuciowym, poważnym, zwyczajnym tonem:

-Luzor Povechacque Moussou.

Ponownie wyrzuciłem go, ale przychodził tak jeszcze dwa razy. W końcu nie wytrzymałem i zadzwoniłem po policję. W końcu są teraz jakieś nowe przepisy ponoć, oskarżę go o nękanie. Policja przyjechała, kazała się wynosić i wlepiła mandat sporej wysokości. Ukarany jednak zaraz zapłacił i następnego dnia, jak gdyby nigdy nic, pojawił się znowu, powtarzając swoje ulubione:

- Luzor Povechacque Moussou.

Wezwałem policję po raz drugi. Tym razem zamknęli go do aresztu. Wytoczyłem mu proces, który z łatwością wygrałem. Skazali go jednak tylko na jakieś parę miesięcy więzienia. W tym czasie oczywiście

zdążyłem już o nim zapomnieć. Lecz pewnego pięknego dnia zjawił się powtórnie i powtórzył znowu swoje:

- Luzor Povechacque Moussou.

Wezwałem policję po raz drugi. Tym razem zamknęli go w szpitalu psychiatrycznym, na obserwację. Z tej jednak wypuścili go tydzień później, nie dopatrując się śladów niebezpiecznej choroby psychicznej. I tak zaczął przychodzić do mnie codziennie, coraz to częściej i częściej. Gdy nie otwierałem, dzwonił do upadłego. Zaczepiał mnie nawet, gdy byłem na mieście. Chodził za mną, powtarzając mi cicho, jak gdyby na ucho te tylko słowa:

- Luzor Povechacque Moussou.

Próbowałem dowiedzieć się kto lub co to jest, ale w żadnej książce, w żadnej gazecie ani nawet w całym wielkim Internecie nie mogłem znaleźć absolutnie nic. W końcu poradziłem się prawnika. Powiedział, że jak się postaram, zamkną go na dłużej. Faktycznie, dostał już nie parę miesięcy, a parę lat. W tym czasie zapomniałem już o nim zupełnie, czyż nie mam nic lepszego do roboty, niż myśleć o jakimś dziwaku? Lecz gdy wyszedł z więzienia zjawił się znowu i znowu powtórzył:

- Luzor Povechacque Moussou.

Cierpliwość moja była u kresu. Wezwałem policję, radziłem się znowu prawników, ale oni powtarzali tylko, że przecież na dożywocie za nękanie nie da się skazać i nic z nim zrobić nie można. Niech pan najlepiej wyjedzie – mówili, przeniesie się do innego miasta. Przenosiłem się parę razy, ale ciągle mnie dopadał. Nie było na to rady. Wciąż przerywał mi pracę, irytował, potrafił zepsuć cały dzień. Byłem bezradny. Mogłem mu wprawdzie ciągle wytaczać procesy, zamykać go na parę miesięcy czy nawet może i lat, ale co z tego, skoro miałem pewność, że po tym czasie on znów powróci i powtórzy:

- Luzor Povechacque Moussou.

Nie dawało mi to spokoju. Z czasem popadłem w paranoję. Nie mogłem skupić się na niczym, bo zawsze bałem się, że on zaraz znowu zacznie dzwonić do moich drzwi i znów usłyszę jego głos, powtarzający te same słowa. Ten głos zaczął mnie prześladować. Krążył cały czas gdzieś w podświadomości, nie pozwalał skupić się na niczym w pełni, rozpraszał, niepokoił. Cały czas czułem jakiś lęk, jakieś nerwowe podniecenie, podniecenie oczekiwania na niego. Nie musiałby już chyba nawet przychodzić, a ja i tak nie odzyskałbym już dawnego spokoju, cały czas czekając, mając pewność, że w końcu przyjdzie, że na pewno się pojawi. Więcej, mógłby nie przychodzić nawet parę miesięcy, mógłby mi nawet oświadczyć, że nie przyjdzie, a i tak nie wiem, czy zdołałbym wyrzucić z mojego umysłu i z mojej pamięci jego głos i te niezrozumiałe słowa, których sens również mnie męczył. Starałem się go dociec, marnowałem na to mnóstwo czasu i sił, przesiadywałem w bibliotekach, licząc jak gdyby, że może gdzieś w końcu znajdę jakąś część przynajmniej tych słów, jakieś ich wytłumaczenie, miejsce, z których mogłyby pochodzić. Ale nic z tego. I tak z dnia na dzień popadałem w coraz to większy lęk i paranoję, w coraz to mniejszym stopniu mogłem normalnie pracować i funkcjonować. Nic więc dziwnego, że wkrótce w mojej głowie zaczęły kiełkować coraz to dziwniejsze pomysły rozwiązania tego problemu. Aż w końcu pojawiła się myśl, żeby zabić mojego prześladowcę. Tak, zabić go, a przynajmniej wyrwać mu język... Lecz czy to wystarczy? Przecież jeżeli wyrwę mu język, to zapewne i tak będzie do mnie codziennie przychodził i dzwonił. I chociaż nie będzie mówić, to ja sam już sobie dopowiem:

- Luzor Povechacque Moussou.

A może już nie będzie przychodzić, ale cóż z tego, skoro ta straszna myśl, że MOŻE przyjść, ta prze-rażająca możliwość, ta nieustanna niepewność, bo przecież jest nieprzewidywalny, bo przecież w każdej chwili znów może zadzwonić... O, niech już zadzwoni! Niech już zadzwoni, niech powie co ma powie-dzieć, a ja niech już go wygonię! Ale.. co z tego właściwie? Co z tego, skoro nie wiadomo czy przyjdzie znowu za pół godziny, za godzinę, za półtorej, za dwie? I znowu niepokój, oczekiwanie, o niech już przyjdzie, niech zadzwoni! A w nocy sen niespokojny, że może przyjdzie, chociaż w nocy nigdy nie przy-chodził, ale przecież z nim nic nie wiadomo, on nie ma zasad przychodzenia, przychodzi, kiedy chce, nie ma rozkładu, planu, schematu... I kto wie, co mu wpadnie do głowy? Więc trzeba go zabić! Tak tylko można upewnić się, że już nie powróci, że już nie przyjdzie! I może po jakimś czasie odzyskam dawny spokój. Ale... jakże to tak – człowieka zabić? Tak po prostu – człowieka zabić? Ot, tak zwyczajnie po-zbawić go życia? Nie no, zaraz, a kto tak każe? Można przecież zabić w emocjach, można zabić stresując się, drżąc wewnątrz i zewnątrz, wzdrygając się – a kto mi zabroni tak zabić? Czyż muszę być mor-dercą beznamiętnym? Nie mogę zabijać pocąc się, niepewnie, wolno, niezdecydowanie? A dlaczego to niby? Oczywiście, że mogę! Więc tak zabiję, może nawet to lepiej, bo poczuję niezwykłość, przelomo-wość tego czynu, poczuję, że od tego momentu zaczyna się nowe życie, a raczej – że wraca życie stare, dobrze znane, spokojne, normalne, przewidywalne, bez paranoicznego oczekiwania, bez lęku, bezsenno-ści, koszmarów... I poczuję znów oddech swobodny!

Ha, ale jak zabić? Jaką metodą? I tak zacząłem knuć plan mój misterny, układać go w głowie krok po kroku, analizować, przewidywać, rozmyślać, czytać o metodach mordowania... A przez to już w ogóle prawie na nic innego nie miałem czasu. Nie jadłem prawie, nie piłem, nie spałem. Zwolniono mnie z pra-cy. Oszalałem kompletnie. Ale w końcu ułożyłem cały plan. Z niecierpliwością więc czekałem na przy-bycie mego gościa. W końcu usłyszałem dzwonek. Otworzyłem i zaraz potem wyszedłem z domu. On podążył za mną. Szliśmy na skróty, tak aby jak najmniej osób nas widziało. W końcu wyprowadziłem go na kompletne odludzie, nad wielką i głęboką przepaść.

I stanęliśmy tam naprzeciw siebie w całkowitej ciszy. Która trwała przez chwilę, zaraz bowiem powie-dział:

- Luzor Povechacque Moussou.

Głos jego zabrzmiał w tej przejmującej ciszy poważniej, groźniej i bardziej patetycznie, jakby jakiś czar-noksiężnik wypowiadał swoje zaklęcie, tam, pośród wznoszących się majestatycznie głazów i nad ogrom-ną przepaścią, której dna nie można było dostrzec.

Popatrzyłem mu prosto w oczy. Po raz pierwszy, a przecież przychodził do mnie tysiące razy przez te wszystkie lata. A jednak dopiero teraz przyglądałem mu się uważniej. Twarz jego jednak nie wyrażała nic właściwie, chyba oprócz tego jednego, czym się dla mnie stał: Luzor Povechacque Moussou. Ale cóż to było? To była tajemnica, ale i nonsens zarazem, absurdalny wymysł chorego umysłu, rojenia psy-chopaty, który nie wiadomo skąd się wziął, nie wiadomo jak żyje, z czego, po co, dlaczego robi to, co ro-bi. Życie, które jest zagadką, ale zagadką męczącą i dręczącą aż do tego stopnia, że nikt chyba nie ma czasu ani siły się nią zainteresować. Ja już nie dostrzegałem w nim człowieka, który może zaciekawić. Dziwne, prawda? Ja, który zawsze fascynowałem się wszelakiej maści oryginałami, psychopatami... A teraz nic! Nic więcej jak tylko zmęczenie, znużenie jego nonsensem, jego wariactwem, a niech idzie w cholerę ze swoim psychopactwem, ze swoją całą oryginalnością, ze swoim absurdem! Cóż to za absurd, tajemnica, zagadka! Ale nużąca zagadka, tajemnica, który męczy, która żyć nie pozwala, która zatrała

mnie od środka i doprowadziła aż tu, na skraj tej przepaści. Doprowadziła mnie do nienawiści do niego i do psychopactwa również, ale przecież zwyczajnego, mającego powód... Powód, który nie ma powodu!

I oto ten powód stał przede mną. W oczach jego nie dostrzegłem lęku. Nie dostrzegłem żadnego sygnału, który pozwalałby sądzić, że on wie, po co tu przyszedłem z nim razem, że on podejrzewa, dlaczego stoimy nad przepaścią, a obok skały. I na dnie przepaści – skały. Nic! Ani śladu! Tylko to jego wieczne Lu-zor Povechacque Moussou, jakby on był tylko tymi słowami i tym głosem, który w kółko je powtarza, jakby on mi samego siebie dawał przez te słowa. Ale czego oczekiwał w takim razie? Co miałem z nim zrobić? A może właśnie to, co miałem zamiar zrobić teraz? Może taki był jego plan – użyć człowieka jak noża, uczynić z człowieka sznur? On – trzy słowa bez sensu, a ja – sznur? A ja – cios pchający go w przepaść? O, jak skurczył nas obu, jak nas chytrze zamknął w swoją zasadzkę! A może wcale nie? A może to tylko moja interpretacja, może on ma po prostu we łbie nie po kolei i wszystko to robi bez sensu i bez celu, ot tak sobie?

Stałem tak i myślałem, a on gadał wciąż to samo. A ja zawahałem się – czy zabić go? Czy potrafię? No, dalej, zabij! Pchnij go w przepaść, uwolnij się od niego! I zacząłem wtedy czuć ten strach, ten pot, to drżenie, ten stres, który od środka przeżera... Poczulem gorąco pośród skał zimnych i treść straszną – nie mogłem zrobić pierwszego kroku! Nie mogę, nie, nie, nie! A jednak muszę przecież, taki jest plan. Muszę się uwolnić od niego. Muszę się zebrać w sobie i po prostu to zrobić. On stoi na skraju przepaści. Wystarczy jeden krok, malutki kroczek i to jedno pchnięcie ręką... Muszę się przełamać. Starłem się skupić w sobie, ale on nie pozwalał mi, wytrącał mnie z równowagi, powtarzając wciąż i wciąż to samo, wciąż to samo, wciąż to samo, to samo, to samo...

Aż w końcu wpadłem w gniew i pchnąłem go w tą przepaść.

Widziałem jak spadał.

Zrobiłem głęboki wdech.

Poszedłem do domu.

A po kilku dniach usłyszałem dzwonek.

W drzwiach stanął... nie, nie on! Ktoś bardzo podobny, zapewne jego brat bliźniak, ale nie jednojajowy. I znowu to samo, znów mnie dręczył. Ale tym razem szybciej już i łatwiej mi poszło.

Zrzuciłem go z przepaści.

Ale okazało się, że były trojaczki.

Czworaczki.

Pięcioraczki.

Sześcioraczki.

Siedmioraczki, ale przecież i takie rzeczy się zdarzają.

Byłem na skraju wyczerpania. W ciągu pół roku zabiłem siedem osób, które nic innego nie robiły, jak tyl-

ko dręczyły mnie. A ja nic innego nie robiłem, tylko dawałem się dręczyć. Nie mogłem spać. Za każdym razem, kiedy przychodził kolejny, było dwa, trzy, cztery, siedem razy gorzej, choć tyleż razy krócej.

Ale nie mogłem już tego wytrzymać. Ileż można zabijać, ileż można znosić wciąż i na nowo to samo. Iluż on ma jeszcze braci? Iluż ich jest? Nie wiem, ale ja już nie wytrzymałem przy siódmym. Po siódmym miałem dość.

Ale nie rzuciłem się w przepaść. Otrułem się, ale takim środkiem, co szybko zabija. Bezboleśnie.

Widzę teraz przepaść wypełnioną trupami braci. Ludzie nie wytrzymują, rozbijają ich o skały. Nie ma już miejsca, nie ma gdzie ich wrzucać, jak ich zabijać. Zbyt wielu ich jest. Ludzie się zabijają.

Ale to trwa tysiąclecia. To nie jest plaga. Jak wykończą jednego na świecie, odczekują kilkadziesiąt lat i uderzają w inne miejsce świata, w innego człowieka. Jak go wybierają? Nie wiem.

Ale wszyscy bez wyjątku powtarzają tym samym głosem wciąż jedno i to samo:

- LUZOR POVECHACQUE MOUSSOU.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

MP642, dodano 25.03.2019 10:43

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.